

JÓZEF BARAN

Przystanek Marzenie (61)

(fragmenty)



Na ogół jednak Agadir czy w ogóle miasta marokańskie nawiedzane przez turystów nie są specjalnie niebezpieczne. Wszędzie czuwa policja, straż, cichociemni... Po plaży jeżdżą na kładkach, na koniach, na motorach – kontrolując sytuację. Turystyka jest przecież jedną z najbardziej dochodowych gałęzi gospodarki tego trzydziestomilionowego państwa. Obcokrajowcom przebywającym na wypoczynku nie powinien spaść włos z głowy. W przeciwnym razie nie przyjadą tu więcej.

Wracając zaś do targowania... tu wszystko wszędzie można kupić. Kawiarnie są wypełnione mężczyznami siedzącymi przy kawie czy miętowej herbacie. Co oni tam robią całymi dniami? Wyjaśnił nam to pod koniec marokańskiego objazdu Ahmed: – Oni tam po prostu dobijają targu, pracują. Taka kawiarnia może pełnić na przykład rolę komisju samochodowego, można tu poprzez pośrednika kupić auto, sprzedać kurnik, mieszkanie, pole, osła, muła, dom, rower... a nawet wyłgać się od kary wieloletniego więzienia. Adwokat petenta umówi go z sędzią, który przedstawia gamę możliwości, jak za forszę można obniżyć wyrok (dlatego zawód sędziego w Maroku jest niezwykle intratny i elitarny).

W kawiarni da się właściwie ubić każdy interes, bo wszystko jest do załatwienia, jeśli dysponujesz odpowiednią kwotą.

Maroko to jeden wielki targ, a sztuka targowania jest prawie jak sztuka oddychania. Umiesz się targować, to jesteś kimś godnym szacunku; nie umiesz – to jesteś frajer pompka, prostak, głupiec!

Zwinni, bystrzy, znający kilka języków – choć często analfabeci – liczący w pamięci jak na komputerze, potrafiący wciskać kit, są idealnymi sprzedawcami. Na szczęście działa na nich jedno magiczne słowo „Police!”. Wypróbowałem je na pewnej straganiarce w Agadirze, która zdążyła za pomocą jakiejś sztuczki zamienić mi – już przy zawijaniu w papier – wybrane i zapłacone zwierzątko, przeznaczone jako prezent dla wnucząt, z

kryształowych na gliniane, czego początkowo nie zauważyłem i dopiero w hotelu zorientowałem się, że mnie oszukała. W dodatku jeden wielbłądzik miał trzy nogi! No, tego już nie zdzierzyłem. Kiedy zażądałem na drugi dzień, żeby mi je zmieniła na właściwe – wyśmiała mnie. Rzuciłem jej więc kulawego wielbłąda na stolik i zagroziłem, że pójdę na policję. Poskutkowało, ba, sprzedawczyni biegła za mną z dwoma dodatkowymi zwierzątkami gratis, błagając, bym się wstrzymał z donosem, na co łaskawie się zgodziłem...

* * *

No i już po bajkach z tysiąca i jednej nocy. Maroko skurczyło się albo powróciło znów do rozmiarów plamki na mapie. Jestem znów w Krakowie i wydaje mi się, że nigdy nie byłem w żadnym Agadirze, Fezie, Marakeszu i Rabacie. Gdzie są wczorajsze dni?

Gdzieś tu muszą być niedaleko, za górą, za rzeką, za snem, gdzieś się schowały przede mną; jeszcze czuję na wargach ich smak, w nozdrzach zapach, w oczach obrazy.

Już ich nie ma, zapadły się pod ziemię, rozplynęły się w chmurach, zatonęły w morzu innych dni, wyrzucając mnie na brzeg „dzisiaj”? Jestem łącznikiem pomiędzy wczoraj, dziś i jutro. Jestem ciągiem dalszym czegoś co było i nadzieją na coś, co będzie.

Gdzie jest wczorajszy dzień, a ja razem z nim wczorajszy, ten co zniknął, rozmył się, znikł jak kamfora – w śnie, a potem zestalił się od nowa w porannym „dziś” i rośnie znów w oczach?

Wańka-wstańka..

Telewizorowe tortury

Naturalnym środowiskiem młodego człowieka staje się kakaofoniczny hałas, nie cisza sprzyjająca skupieniu. Podobnie jak naturalnym środowiskiem stają się dla niego przyciski, komputery, auta, telewizory... słowem: miasto – masa – maszyna.

Broń Boże las, ogród, łąka, rzeka, śpiew ptaków, brzęczenie owadów. Natura i cisza go nudzą.

Stwierdzam to po tygodniowym pobycie w szpitalu, gdzie terroryzował mnie na sali telewizor z kilkunastoma programami zapełnionymi w jednej trzeciej reklamami. Migające obrazki, wszechobecny hałas, wrzaski jakichś idiotów reklamujących cudowne podwiązki, cudowne leki, cudowne aparaty do robienia ludzi w konia.

Oczywiście protestowałem i opierałem się dzielnie, ale przecież jest demokracja, a na sali obok mnie leżały trzy inne osoby, które, zresztą podobnie jak ja, nudziły się, czekając na zabieg. Najłatwiej więc wrzucić do aparatu 6 złotych, opłacając sobie w ten sposób na 24 godziny towarzysza nudy – telewizorowego wariata torturującego przywiązanych do łóżka. Torturującego? Mnie tak, ale już innych nie.

Już się przyzwyczaili do współczesnej kakaofonii dźwięków, strzępków reklamowych, migającego kołowrotu obrazków, głupiutkich seriali z jednowymiarowymi aktorami-amatorami. To dla nich właśnie naturalne środowisko.

W lesie, w górach wycieczki młodych skracając się wprost z nudów, „bo tam nic się nie dzieje”.

Henryk Łabza, znakomity chirurg, ale i człek rozsądny, gdy mu o tym mówiłem, potwierdził, że gdy obserwuje pacjentów poddających się samorzutnie telewizorowej torturze, zastanawia się, czy ma jeszcze do czynienia z ludźmi czy już z małpami, które udają ludzi, bo tak by można sądzić na podstawie ich gustów. – Da się im wcisnąć każdy kit, każde kretyństwo, byle obrazki przelatowały szybko, były ilustrowane głośnie muzyką i byle nie próbowało się w tym, co się pokazuje, zawrzeć głębszego sensu.

Na innej planecie czyli w szpitalu – powróć do znanych mi klimatów, nastrojów, rozmów. Leży obok mnie i trzyma się za policzek major wojska polskiego (zatoka, torbiel), leży przez trzy dni młody człowiek spod Grójca z przesuniętą szczęką, którą trzeba nastawić; leży chłopiec z Oksfordu, z którym ojciec, kierowca tirów pracujący w Anglii, przyjeżdża na zabieg już po raz ósmy (torbiele w zatokach) i to nie tylko dlatego, że tu taniej, lecz przede wszystkim dlatego, że – o dziwo! – jak twierdzi, opieka medyczna w Polsce jest o wiele sprawniejsza i lepiej funkcjonująca niż w Anglii, a polscy lekarze są znakomici.

No i proszę, komu tu wierzyć?

Leży gość w średnim wieku, któremu szesnastoletni syn złamał szczękę nogą...

Szpitalna galeria twarzy – z podwiązanyymi szczękami, zabandażowanymi nosami, policzkami – które pojawiają się i znikają.

A po czterech dniach oczekiwania na zabieg – jazda na łóżku przez korytarze, a potem windą na dół (po raz to już który?) do poczekalni przedoperacyjnej, wyglądającej jak czyściec, a może jak lotnisko raket-łózek odlatujących w przestrzeń międzyplanetarną. I myśl, że tyle przyjemniejszych zajęć w życiu, a ja akurat zostałem oddelegowany przez los do służenia jako eksponat operacyjny. Siostry w zielonych fartuchach, nagutcy pacjenci pod białymi prześcieradłami, którym widać tylko głowy, jakieś czary-mary, narkozy i już człowiek ma wyłączoną świadomość, a chirurdzy mogą z nim robić, co chcą.

Na szczęście tym razem godzinny zabieg nie jest groźny i traktuję go jako dopust, o którym szybko chciałbym zapomnieć, tak jak i o samym pobycie w szpitalu. Na czwarty dzień po zabiegu zostaję wypuszczony. Za tydzień – wyjęcie szwów; za dwa tygodnie będę już mógł jeść nie tylko zupki, kaszki manny popijane sokami, lecz także drugie dania.

cdn.